

Nie mała destabilizacja

9 maja 2016

Prof. Jan Toporowski (ur. 1950) – profesor ekonomii i finansów, do 2012 r. dziekan Wydziału Ekonomii Szkoły Studiów Orientalnych i Afrykańskich (SOAS) Uniwersytetu Londyńskiego, znawca problematyki rynków finansowych i bankowości międzynarodowej, autor m.in. książek „The Economics of Financial Markets and the 1987 Crash” (1993), „The End of Finance: Capital Market Inflation, Financial Derivatives and Pension Fund Capitalism” (2000), „Theories of Financial Disturbance: An Examination of Critical Theories of Finance from Adam Smith to the Present Day” (2005), „Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego” (2010, wyd. polskie 2012) oraz „Michał Kalecki: An Intellectual Biography. Volume 1 Rendezvous in Cambridge 1899–1929”. Z prof. Janem Toporowskim rozmawia Marceli Sommer.

– W swojej pracy naukowej zajmuje się Pan m.in. mechanizmami systemu finansowego, które powodują destabilizację i przyczyniają się do kryzysów gospodarczych. Czy obserwując problemy, z jakimi boryka się światowa gospodarka w ostatnich latach, miał Pan poczucie, że na naszych oczach realizują się scenariusze już od dawna wyjaśnione i opisane (m.in. przez polskich ekonomistów, takich jak Michał Kalecki czy Oskar Lange, którymi się Pan inspirował), czy może coś – jakieś nowe zjawiska, mechanizmy – Pana zaskoczyło?

– Prof. Jan Toporowski: Zaskoczył mnie początkowo sam wybuch kryzysu. A później – pokutujące do dziś – przekonanie o jego wyjątkowości i przełomowym charakterze. Pamiętam, że w 2007 r. rozmawiałem o tym, co dzieje się na rynkach finansowych, z jednym z czołowych lewicowych ekonomistów w Oksfordzie, Andrew Glynem. Widoczne już wówczas turbulencje traktowałem jako zjawisko sezonowe. Od lat śledząc sytuację na rynkach wiedziałem, że w lecie rynki w Anglii i – do pewnego stopnia – w Stanach Zjednoczonych zmagają się z brakiem płynności.

Ludzie wyjeżdżają na wakacje i nikt nie chce robić wtedy większych operacji na akcjach czy obligacjach. Tak też powiedziałem Glynowi. Okazało się, że to było trochę więcej niż przejściowy brak płynności [śmiech].

Ale jednocześnie, wbrew dość wówczas na lewicy rozpowszechnionemu przekonaniu, że mamy do czynienia z „ostatecznym krachem systemu kapitalistycznego” – wobec którego byłem dość sceptyczny – moja diagnoza nie była wcale bardzo odległa od rzeczywistości.

Bardzo rozpowszechnione do dziś jest przekonanie, że kryzys wywołany został przez fałszerstwa i inne patologiczne zachowania bankierów i finansistów, związane z operacjami na tak zwanych Collateralized Debt Obligations (obligacji zabezpieczonych długiem), czyli stosowanych przez instytucje finansowe instrumentach pochodnych opartych na długu, oraz przez kredyty subprime (kredyty wysokiego ryzyka, przyznawane osobom o niskiej zdolności kredytowej). Inni twierdzili lub twierdzą, że źródłem kryzysu był nadmierny poziom zadłużenia prywatnego.

W rzeczywistości było jednak inaczej. Głównym problemem naprawdę był brak płynności. Pierwsza reakcja banków centralnych na kryzys po upadku Lehman Brothers była dość standardowa – uwolnienie rezerw, które miały ustabilizować rynki. I te metody przyniosły zamierzony efekt. Gdy płynność została przywrócona dzięki działaniom banków centralnych, rynki wróciły do stanu równowagi, a amerykańska Rezerwa Federalna, która w ramach programu antykryzysowego skupiła sporo aktywów uważanych za „toksyczne”, ostatecznie na tym zarobiła!

Racji nie miała także lewica, która utożsamiała cały system finansowy z lichwą i twierdziła, że kryzys wynikł z tego, iż biedna klasa robotnicza w Stanach kompensowała niskie zarobki życiem na kredyt, generując zadłużenie, którego nie była potem w stanie obsłużyć. W rzeczywistości przytłaczająca większość

skumulowanego zadłużenia amerykańskich gospodarstw domowych dotyczyła klasy średniej – rodzin, które mają pewne zabezpieczenie i w razie niewypłacalności mogą po prostu sprzedać dom i kupić sobie mniejszy.

Na początku lat 90. przeprowadzono w USA takie badanie, w którym sprawdzono prawdopodobieństwo niewypłacalności. Intuicyjnie oczywiste wydaje się, że ono musi być związane z dochodem: że ci, którzy mają wyższy dochód, są mniej zagrożeni, a ci, którzy mają niższy – bardziej. Tymczasem z badania rynku wynikało, że jest wręcz odwrotnie – że to ci, którzy zarabiają najwięcej, najczęściej rezygnują ze spłacania swoich długów, a najbiedniejsi najrzadziej.

– Jak to możliwe?

– Dla kogoś, kto – tak jak ja – pochodzi z biednej rodziny, to wcale nie jest tak bardzo zaskakujące. Weźmy przypadek amerykański. Ubodzy w USA mieszkają często na osiedlach kontenerowych, w takich blaszanych przyczepach. I ta przyczepa stanowi wszystko, co taki człowiek ma. On będzie harował po 24 godziny na dobę, żeby tylko spłacić kredyt, bo inaczej nie będzie miał nic. Sytuacja zmienia się diametralnie, jeśli mówimy o kredycie na kupno któregoś z kolei domu. Jeśli ktoś zamożny stwierdza, że chce przestać go spłacać, to po prostu przestaje, przepisując wcześniej majątek na innego członka rodziny. Bank zajmuje niespłacony dom, kredytobiorca nie traci dobytku, i wszyscy są zadowoleni.

Każdy przypadek zajęcia domu najuboższych przez bank jest tragedią, ale jeśli tylko rynek bankowy jest odpowiednio uregulowany, to skala tego zjawiska jest marginalna. Banki nie chcą kłopotów i zazwyczaj są skłonne do renegotjacji warunków spłaty długów, obniżają oprocentowanie albo przesuwają termin uregulowania danej raty, dzięki czemu, ostatecznie rzecz biorąc, większość kredytów osób niezamożnych jest spłacana. Większości lewicy rzeczywiste mechanizmy działania systemu finansowego wydają się jednak nie interesować i trzyma się ona

anachronicznej diagnozy o świecie finansów jako wielkiej pijawce przyssanej do świata pracy.

– Degradacja materialna znacznej części klasy średniej chyba jest jednak faktem.

– To prawda, ale źródłem tej degradacji nie jest zadłużenie, lecz liberalizacja rynku pracy. Tymczasowa, nisko płaćta praca zagościła na dobre w sektorach, w których pracuje klasa średnia – na co dzień obserwuję to np. w szkolnictwie wyższym. Innym problemem, który dotyka klasę średnią, jest sytuacja na rynku nieruchomości i z pokolenia na pokolenie coraz marniejsze perspektywy na uzyskanie własnego mieszkania. Warto podkreślić, że te problemy nie są tak do końca nowe. Czterdzieści lat temu, gdy przyjechałem do Londynu, na mieszkanie też trzeba było przeznaczać połowę pensji.

– Rodzi się pytanie: czy zmiany społeczne i klasowe, które obserwujemy, to narodziny nowego porządku, czy kolejny wariant tego samego porządku, a może nawet swoisty „powrót do przeszłości” i zjawisk znanych z poprzednich epok, z innej fazy cyklu?

– Bliskie mi jest myślenie o kapitalizmie w kategoriach cykliczności i wydaje mi się, że całkiem sporo problemów, z którymi się dziś zmagamy, jest „starych”.

– Przyjemniej jednak myśleć, że spotykamy się z zupełnie nowymi jakościowo wyzwaniem niż o tym, że nie potrafimy sobie dobrze poradzić z czymś, co jest po prostu powtórką z pewnej fazy cyklu gospodarczego.

– Każde pokolenie przeżywa to po raz pierwszy i myśli, że to coś nowego. Trzeba uważnych studiów nad historią rozwoju kapitalistycznego i jego mechaniką, żeby to zrozumieć.

Pamiętam, że gdy jeszcze studiowałem w Birmingham, jeden z wykładowców wytłumaczył mi cykliczność kapitalizmu na kanwie historii miasta. Społeczeństwo było tam tradycyjnie

rozwarstwione nie tylko klasowo, ale także pod względem pochodzenia. W czasie, kiedy tam mieszkałem, bardzo wyraźnie było widać na przykład, że „arystokracja klasy robotniczej” składała się z Anglików i Irlandczyków. Irlandczycy przybyli tam w XIX w. i wtedy to oni byli najbardziej pogardzanymi i wyzyskiwanymi przez rodowitych Anglików nisko wykwalifikowanymi robotnikami. Później przyjechali Żydzi i to oni weszli w role zajmowane wcześniej przez Irlandczyków. Miejsce Żydów zajęli Polacy z powojennej emigracji – w tym moi rodzice. W latach 1960. pojawili się Hindusi, a po nich – imigranci z Karaibów. Za każdym razem, gdy pojawiała się nowa grupa przybyszów, ta na dnie czuła ulgę, bo ktoś nareszcie był w hierarchii niżej od nich.

– Tak opisana historia Birmingham jest jednak historią postępu społecznego, a degradacja nieźle prosperującej w pierwszych dekadach powojennych klasy robotniczej do rangi mieszkającej w blaszakach podklasy albo upadek klasy średniej to – niezależnie od przyczyn tych zjawisk – przykłady społecznego regresu. Gdzie tu cykl?

– Niepewność zatrudnienia może się wydawać czymś względnie nowym we współczesnej Europie i Stanach Zjednoczonych, gdzie po wojnie zapanował ład społeczny oparty na interwencjonizmie i stabilnym stosunku pracy. To temu ładowi zawdzięczaliśmy postęp społeczny i stopniową poprawę statusu kolejnych grup na rynku pracy.

Sukces reform zapoczątkowanych w latach 1930. przez Roosevelta wynikał z panicznej obawy przed deflacją. Dziś takiej obawy nie mamy. Banki centralne potrafią wręcz chwalić się tym, że ceny spadają i twierdzić, że wszyscy mamy więcej pieniędzy. Rzecz jednak w tym, że nie wszyscy.

Demontaż państwa dobrobytu i regres społeczny wzajemnie się nakręcają. Napływowi taniej siły roboczej oraz tanich towarów z gospodarek opartych na taniej pracy towarzyszy coraz to większa deregulacja i obniżanie powszechnych standardów

zatrudnienia. W największym stopniu dotknęło to ludzi z dołu drabiny społecznej – pracowników tymczasowych, mniejszości, imigrantów. Ale ten wyścig do dołu nie może trwać wiecznie. Liberalizacja – choć trwa już od przeszło trzydziestu lat – jest zjawiskiem przejściowym.

– Trudno jednak siedzieć z założonymi rękami i czekać na powrót welfare state.

– Oczywiście, lewica polityczna i ruch związkowy powinny być aktywne. Przy czym wydaje mi się bardzo ważne, żeby lewica nie postawiła na potencjalnie popularny w związku z trwającym kryzysem migracyjnym protekcjonizm i odwoływanie się do antyimigranckich uprzedzeń. Wobec starych problemów należy natomiast sięgnąć do innych znanych i sprawdzonych rozwiązań: przywrócenia i wzmocnienia regulacji rynku pracy, obowiązkowych świadczeń społecznych oraz systematycznie waloryzowanych płac minimalnych.

W dalszej kolejności musi zaś dążyć do przebudowy instytucji – stworzenia nowych instrumentów wpływu na prywatny kapitał, które umożliwią prowadzenie długoterminowego planowania gospodarczego. Wolna przedsiębiorczość – tak, ale potrzebne są takie regulacje, które zapewnią dostęp do kapitału dla tych inwestycji i przedsięwzięć, które stanowią priorytet z punktu widzenia przyjętej przez państwo strategii rozwoju społeczno-gospodarczego.

Musimy zrozumieć, że polityka społeczno-gospodarcza nie może opierać się ani na wolnorynkowej ideologii, zakładającej samorzutny rozwój na bazie sumy decyzji podejmowanych w sektorze prywatnym, ani na samych inwestycjach publicznych (to ostatnie oznaczałoby groźbę inflacji). Potrzebne są instytucje, które będą regulować rynek kapitałowy i dostarczać kapitału tam, gdzie jest potrzebny.

– Jak te rozpoznania mają się do kryzysu europejskiego, który według obiegowych opinii związany jest z problematyką finansów

publicznych i nadmiernego zadłużenia krajów Eurostrefy?

– Kryzys strefy euro nie jest wynikiem nadmiernego zadłużenia ani błędnych decyzji politycznych na poziomie poszczególnych krajów czy instytucji UE. To kryzys źle zaprojektowanego modelu instytucjonalnego.

Zasady, według których stworzono struktury Eurostrefy, były skrajnie monetarystyczne: bank centralny jest tu odpowiedzialny za emisję pieniądza i jest niezależny od jakichkolwiek czynników politycznych. Z kolei europejskie państwa nie mają banków centralnych, które mogłyby spełniać stabilizującą funkcję, zapewniając obrót i płynność obligacji rządowych. Nie uwzględniono w należyty sposób faktu, że obrót pieniądza odbywa się dziś nie tylko w gospodarce realnej, ale również na rynkach finansowych, i zapewnienie obrotu pieniądza na rynkach finansowych jest w obecnym systemie światowym niezbędne dla zapewnienia stabilności waluty.

Doskonale rozumieją to Amerykanie. W Europie wciąż bierze jednak górę strach przed inflacją, bo rozumienie zasad działania rynków finansowych jest wciąż na dość niskim poziomie. Dobrze uregulowany rynek obligacji rządowych powinien być fundamentem nowego europejskiego systemu finansowego. Elementem całego tego dysfunkcyjnego układu jest irracjonalny strach przed długiem publicznym, oparty na charakterystycznym wyobrażeniu – rozpowszechnianym m.in. przez Leszka Balcerowicza – że to jest zadłużenie zewnętrzne, działające na zasadzie zero-jedynkowej. Podkreśla się np., że wyemitowanie obligacji skarbowych oznacza zaciągnięcie przez państwo pewnego zobowiązania, ale jednocześnie pomija się fakt, że wiążą się one ze znacznym dochodem dla ich nabywców, którzy stanowią część krajowej gospodarki i którzy część zarobionych pieniędzy oddają budżetowi państwa.

– Często podnosi się także, iż problemem jest połowiczny charakter integracji gospodarczej strefy euro i uwolnienie polityki finansowej od nadzoru politycznego.

– Zgadzam się. Niestety kryzys generuje przede wszystkim reakcje typu nacjonalistycznego, co powoduje, że nie ma woli politycznej budowy nowych instytucji lub przebudowy starych. To było podstawowe doświadczenie byłego greckiego ministra finansów Janisa Varoufakisa, któremu wydawało się na początku, że wystarczy stworzyć projekt reform, który będzie sensowny z punktu widzenia całego systemu – i wytłumaczyć go Europejczykom. Zwyciężyło jednak przekonanie, że problem został wygenerowany na poziomie poszczególnych państw i na tym poziomie trzeba go rozwiązać. Nie zważano na to, że państwom strefy euro odebrano wcześniej instrumenty, które mogłyby im to umożliwić.

– W drugiej połowie lat 1980. opublikował Pan jeden ze swoich najgłośniejszych artykułów – który, notabene, przypłacił Pan utratą ówczesnej posady w londyńskim City – „Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego?”. Od tego czasu mieliśmy już parę poważnych załamań na rynkach finansowych, ale pozytywnych zmian trudno się chyba dopatrzeć.

– Krach finansowy to forma rozładowania narastającej nierównowagi. Moja teza była taka, że kryzysy są niezbywalną częścią naszego systemu, jako forma jego samoregulacji. Ale to nie znaczy, że konsekwencje załamań finansowych są pozytywne ani że nie należy starać się ich powstrzymywać. Zdecydowanie lepsza od krachu byłaby reforma systemu – taka, która zmierzyłaby się z mechanizmami stanowiącymi o sednie i naturze kapitalizmu od niemal dwustu lat.

– Czy od upadku słynnego Lehman Brothers znaleźliśmy się bliżej wypracowania takiej reformy i zmierzenia się z przyczynami światowych kryzysów?

– Jednym z głównych problemów, które leżały u źródeł ostatniego kryzysu finansowego, było sprowadzenie polityki gospodarczej do polityki pieniężnej, prowadzonej przez niezależne banki centralne. Niestety, po 2008 r. przekonanie o wiodącej roli banków jeszcze się umocniło – i to po wszystkich

niemal stronach politycznego sporu. Jako podmiot zdolny do załatwienia wszelkich światowych problemów – od rozwoju gospodarczego, przez zmianę nauczania ekonomii i bezrobocie, po zmiany klimatyczne – sam się przedstawia np. Bank of England. Albo weźmy przypadek kryzysu europejskiego, określanego też mianem kryzysu zadłużenia lub kryzysu strefy euro. Rządy państw członkowskich są bezwładne, nie mogą sobie poradzić z kryzysem, i tylko jeden Draghi [szef Europejskiego Banku Centralnego – przyp. redakcji N0] zawsze ma rozwiązanie. Tym rozwiązaniem jest – według niego – wykupienie przez EBC długoterminowych obligacji zadłużonych krajów eurostrefy. W praktyce jednak skup obligacji ożywi rynki finansowe i zmieni strukturę zadłużenia w gospodarce, ale nie wywrze wpływu na realną gospodarkę.

– Chodzi o to, że kluczowym problemem, który stoi za kryzysem, jest nadmierne rozděcie świata finansowego względem realnej gospodarki, a proponowane rozwiązania oznaczają wpompowanie w te rynki jeszcze większych pieniędzy i tylko ten problem spotęgują?

– Nie do końca. Myślę, że zarówno decydenci polityczni i gospodarczy, jak i część środowisk lewicowych, przeceniają rolę zmian, które zachodzą na rynkach finansowych. Bankierzy i wsłuchani w nich politycy chcą pompować pieniądze na światowe giełdy, żeby podtrzymywać krążenie pieniądza. Z kolei część lewicy proponuje ograniczenie spekulacji jako panaceum na wszystkie problemy współczesnych gospodarek. Tymczasem rynki finansowe nie są ani sednem naszego problemu, ani kluczem do jego rozwiązania.

Żeby prawidłowo zareagować na kryzys gospodarczy, trzeba zrozumieć mechanizmy, które odpowiadają za koniunkturę i rozwój, a te – w moim przekonaniu – znajdują się poza światem finansów, w realnej gospodarce, a konkretniej w inwestycjach sektora prywatnego. To rozpoznanie, które zawdzięczam takim myślicielom, jak Michał Kalecki, Róża Luksemburg czy niektórzy lewicujący keynesiści: kryzysy kapitalizmu biorą się ze zbyt

niskiego poziomu inwestycji. A to, co dzieje się na rynkach finansowych, dotyczy głównie samych finansistów. Świat finansów jest bardzo mocno skupiony na sobie i wydaje mu się, że dotyczące go wahania to niewyobrażalny kataklizm, z którego biorą się wszystkie inne. To naturalne – mówimy przecież o ludziach, którzy z rynków czerpią gigantyczne dochody. Trudno im zrozumieć, że nie są pępkiem świata ani nawet najważniejszym sektorem kapitalizmu.

Tymczasem, choć prawdą jest to, że stosowane na rynkach finansowych instrumenty mają coraz bardziej złożony i spekulacyjny charakter, finanse nie są istotą współczesnego kapitalizmu.

– I nikt tego nie rozumie?

– Jest coraz więcej ludzi w świecie nauki i w sektorze eksperckim, którzy mają świadomość, że problem tkwi w sektorze prywatnym i w jego niechęci do inwestowania. Ale większości z nich wciąż się wydaje, że możliwe jest ożywienie tej koniunktury klasycznymi instrumentami polityki pieniężnej czy fiskalnej.

– A nie jest?

– Nie. To jest immanentny problem kapitalizmu: ten system gospodarczy podlega cyklom rozwojowym, które są ściśle uzależnione od poziomu prywatnych inwestycji. Kiedy sektor prywatny stawia na oszczędzanie, a nie na inwestycje, zaczyna się stagnacja. Żeby przełamać stagnację, potrzebne jest podniesienie poziomu inwestycji, ale sektor prywatny nie chce wprowadzać środków na rynek, kiedy nie wiąże się to z wystarczająco atrakcyjnymi zyskami. I nie istnieją mechanizmy, żeby te inwestycje – w skali, która byłaby konieczna do pobudzenia rozwoju – wygenerować.

Keynesiści twierdzą, że można pobudzić „ruch w gospodarce” poprzez odpowiednią politykę fiskalną, a przede wszystkim zwiększenie wydatków publicznych. O ile to wydaje się

wykonalne na dużych rynkach, takich jak amerykański, to kraje europejskie – nawet tak potężne, jak niemiecki – są na to za małe i polityka inwestycji publicznych musiałaby się tam skończyć inflacją. A np. Niemcy panicznie boją się inflacji. Z kolei w takim kraju jak Polska zwiększenie deficytu odbiłoby się negatywnie na handlu zagranicznym.

Z polityką keynesowską eksperymentował w latach 1970. François Mitterrand, ale jej efektem było lawinowe narastanie deficytu w sektorze publicznym i wysoki poziom inflacji, a bezrobocie pozostało na wysokim poziomie. Z kolei konserwatywny brytyjski minister finansów Nigel Lawson próbował zmierzyć się z problemem inwestycji poprzez ulgi dla prywatnych przedsiębiorstw, ale doprowadziło to do powstania bańki spekulacyjnej. Poziom inwestycji faktycznie się podniósł, ale nie był to typ inwestycji, który zapewniłby stabilny długofalowy wzrost gospodarczy.

Inwestycje publiczne mogłyby zadziałać jako podstawa polityki gospodarczej na poziomie europejskim – zresztą istnieje przecież europejski system koordynacji polityki makroekonomicznej. Bariera pozostają tu jednak zasady zapisane w traktatach z Maastricht, które jedynym w zasadzie celem wspólnej polityki gospodarczej UE czynią walkę z inflacją. Resztę – zarówno wzrost gospodarczy, jak i zatrudnienie – zawiera się sektorowi prywatnemu i „niewidzialnej ręce rynku”. Tymczasem ostatni kryzys bardzo wyraźnie wykazał, że sektor prywatny sam sobie z załamaniem inwestycyjnym nie poradzi – bo jest to poza horyzontem jego bezpośrednich interesów i możliwości.

– I tu wracamy do postulatu interwencji państwa poprzez rynek kapitałowy i planowania gospodarczego?

– Polityka antykryzysowa musi mieć charakter systemowy. Ze względu na uwarunkowania, o których mówiłem, nie obejdzie się bez instytucji, które zapewnią nam realny wpływ na kierunki inwestycji i, co za tym idzie, rozwoju gospodarczego. Inaczej

mówiąc, państwo musi prowadzić aktywną politykę przemysłową.

– Jak taka polityka mogłaby wyglądać w praktyce i czy dałoby się w obecnych realiach międzynarodowych prowadzić ją na poziomie jednego państwa?

– W mniejszych państwach, takich jak Grecja czy Portugalia, byłoby to zapewne trudne, ale w kraju takim jak Polska – jak najbardziej.

– Tylko że hasło planowania gospodarczego spotka się zapewne ze znaczącymi chrzążnięciami i sugestiami, że ktoś chce powrócić do skompromitowanych rozwiązań rodem z „realnego socjalizmu”.

– Ale przecież polityka przemysłowa i planowanie były elementami wielu gospodarek rynkowych! Do pewnego stopnia do dziś funkcjonują one zresztą w Niemczech czy w Austrii, która w kilku gałęziach swojej gospodarki – takich jak przemysł metalurgiczny – prowadzi politykę przemysłową, o jakiej mówię, niemal od zarania kapitalizmu. Mówimy więc o wdrożeniu na szerszą skalę rozwiązań, które są znane od co najmniej 120 lat. Ich przejawami są np. Centralny Okręg Przemysłowy Eugeniusza Kwiatkowskiego czy projekty infrastrukturalne, takie jak np. tunel kolejowy, który łączy Anglię z Francją, albo koleje transkontynentalne w Ameryce Północnej.

– Jest Pan związany z tradycją myślenia o ekonomii, w którą istotny wkład mieli m.in. polscy ekonomiści, tacy jak Michał Kalecki, Oskar Lange czy Tadeusz Kowalik. Po 1989 r. wiele ich podstawowych tez – dotyczących m.in. roli, jaką państwo ma do odegrania w gospodarce – zostało uznanych przez główny nurt świata nauki, polityki i mediów za herezje. Jak widzi Pan przyczyny marginalizacji tego nurtu ekonomii zarówno w świecie akademickim, jak i w wymiarze wpływu na politykę gospodarczą?

– Jeszcze w okresie międzywojennym w toczonej w Polsce debacie o ekonomii panował pewien pluralizm. Niestety, po wojnie rządy komunistyczne ograniczyły możliwości dyskusji o różnych

modelach polityki gospodarczej i zaprzężyli naukę w służbę ideologii. Polski dyskurs ekonomiczny nigdy się z tego upadku nie podźwignął. Dominujące tendencje zmieniały się w ślad za polityką – po 1989 r. wpływy amerykańskie wyparły radzieckie, ale ekonomia uprawiana na łamach prasy i na uczelniach pozostała tandetna, prowincjonalna i silnie spolityzowana, daleka pod względem poziomu i zróżnicowania od dyskusji toczonych choćby pomiędzy ekonomistami amerykańskimi.

– Z dzisiejszej perspektywy wydaje się jednak, że okres PRL wcale nie był dla debaty ekonomicznej – przynajmniej tej, która toczyła się na uniwersyteckich seminariach czy na łamach niszowych publikacji – taki najgorszy.

– To prawda. Gdy porównuje się poziom dzisiejszych dyskusji medialnych o ekonomii do tych, które toczyły się na łamach krajowej „Polityki” czy emigracyjnej „Kultury” w latach 1970. czy 1980., to można odnieść wrażenie, że po 1989 r. prowincjonalizm myślenia jeszcze się w Polsce pogłębił.

Nie wiem, jak na nowo otworzyć polskie media i uniwersytety na poważną debatę o ekonomii. Szerokość horyzontów i rozmach w myśleniu o gospodarce Kaleckiego, Langego, Kowalika czy Kazimierza Łaskiego wynikały m.in. z systemowego podejścia, przekraczania ograniczeń prowincjonalnej perspektywy i podejmowanych systematycznie prób zrozumienia, jak działa kapitalizm w skali globalnej. Świadomość peryferyjnego charakteru polskiej gospodarki prowadziła ich do rozważań w kategoriach globalnych zależności i mechanizmów rozwoju, a przede wszystkim do autentycznego zainteresowania światem. Odróżniało i odróżnia ich to od wsobnej polskiej ekonomii, która – zarówno w okresie PRL, jak i po 1989 r. – zajmowała się niemal wyłącznie lokalnymi problemami, a w dyskusjach teoretycznych powtarzała bezrefleksyjnie to, co było akurat „na czasie” i zgodne z polityczną poprawnością. Oczywiście ten prowincjonalizm w myśleniu o ekonomii nie dotyczy tylko Polski ani tylko krajów peryferyjnych. Większości amerykańskich czy brytyjskich ekonomistów też takiego szerszego systemowego

spojrzenia brakuje.

– Być może w Polsce – bardzo powoli, ale jednak – zmienia się koniunktura dla gospodarczych „herezji”. Mówię to z pewnym wahaniem, bo przyzwyczailiśmy się już do zasady, że „ktokolwiek by Polską nie rządził, w gospodarce i tak rządzi Balcerowicz”, ale choć o Kaleckim usłyszeć wciąż niełatwo, to w świecie polityki zagościły projekty i postulaty, które do niedawna piętnowano jako heretyckie bądź „populistyczne”. W ostatniej kampanii wyborczej wszystkie bodaj strony politycznego sporu mówiły o problemach peryferyjności, „pułapce średniego rozwoju i niskich płac”, a nowy rząd zapowiada m.in. opodatkowanie aktywów bankowych, walkę z unikaniem opodatkowania, rozbudowaną politykę przemysłową i inwestycyjną oraz podnoszenie płacy minimalnej. Co doradziłby Pan tym lub przyszłym reformatorom polskiej gospodarki?

– Wszystkie zmiany, które wspomniano, idą w dobrym kierunku i są potrzebne. Ale, choć może to zdziwi czytelników, uważam, że trzeba wprowadzać je bardzo ostrożnie i zabezpieczyć odpowiednią polityką finansową i fiskalną. W innym przypadku może się okazać, że wprowadzenie – dajmy na to – wyższej płacy minimalnej wywoła panikę na rynkach finansowych i w efekcie chwilowy brak płynności spowoduje wycofanie się rządu z wszelkich ambitniejszych planów. Reform, o których mówimy, nie można w dzisiejszych realiach przeprowadzić bez spokoju na rynkach.

Trzeba mieć zatem względnie konserwatywny program finansowania dla swoich projektów, żeby możliwe było zrealizowanie ich bez radykalnego wzrostu deficytu budżetowego. Nie można też oprzeć kosztownych reform na hipotetycznych przychodach państwa, np. pochodzących z podatków, które dopiero mają zostać wprowadzone, bo może się potem okazać, że prywatne przedsiębiorstwa znajdą sposób na uniknięcie ich płacenia.

W średnim okresie konieczne jest wprowadzanie zmian instytucjonalnych, które zapewnią państwu pewną dotę kontroli

nad rynkami. Polska, podobnie jak inne kraje UE, ma departament długu publicznego w ministerstwie finansów, ma instytucje zajmujące się emisją papierów wartościowych. Można działalność tych urzędów rozszerzyć tak, żeby były w stanie regulować płynność na rynkach finansowych. Koniunktura dla tego typu zmian jest dziś w Europie nienajgorsza.

Słowem, powodzenie reform wymaga dobrze przygotowanej strategii. Samo złożenie projektów w parlamencie, powiedzenie: wprowadzamy to, to i to, z pewnością wywoła ogromną awanturę, natomiast niekoniecznie będzie skuteczne. Ten problem był bardzo widoczny w Grecji. Radykalni reformatorzy mają skłonność, by myśleć o rządzie w sposób woluntarystyczny, wierzyć, że jeśli rząd ma odpowiednie zaplecze w parlamencie, to może zrobić wszystko. Niestety, tak nie jest. Rząd jest tylko częścią w skomplikowanym systemie społeczno-gospodarczym, składającym się z różnych klas społecznych, silniejszych i słabszych grup wpływu.

Nie ma sensu łądzić się, że jakakolwiek, najsensowniejsza nawet władza zdoła w ciągu 4 lat radykalnie przebudować strukturę społeczną. Niektórzy politycy greckiej Syrize wyobrażali sobie, że wyprowadzą swój kraj ze strefy euro – i jednym skokiem wyprowadzą lud grecki na wolność. A przecież wiadomo, co by się stało, gdyby Tsipras zrealizował zapowiedzi „grexitu” – wolny lud grecki odebrałby mu władzę. I nie byłaby to tylko wina bankierów czy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, lecz także pokłosie społecznych konsekwencji zbyt radykalnej decyzji.

– Dziękuję za rozmowę.

Z prof. Janem Toporowskim 19 listopada 2015 r. rozmawiał
Marceli Sommer

Źródło: NowyObywatel.pl